

Jan-Zenon Kowalczyk¹

Lublin

<https://orcid.org/0009-0008-0606-4474>

W krainie dzieciństwa i nieco dalej

In the land of childhood and a little further

Summary

The pretext for writing the memoirs is the 5th anniversary of the death of the author's brother, Prof. Jerzy Antoni Kowalczyk (died 4/10/2018). The author of the text, as the youngest of the Kowalczyk family, recalls its history. He begins with the reunion of the future parents. He outlines the relationship between the parents and their children. He presents situations and events that shaped their later professional and life paths. He recalls the difficulties experienced by family members in achieving life stability. He reflects on those who have passed away and those he has never met.

Keywords: memories; family; family history; Goraj; Jerzy Antoni Kowalczyk

Streszczenie

Pretekstem do spisania wspomnień jest 5. rocznica śmierci brata autora, prof. Jerzego Antoniego Kowalczyka (zm. 4.10.2018). Autor tekstu jako najmłodszy z rodziny Kowalczyków przypomina jej dzieje. Zaczyna od ponownego spotkania przyszłych rodziców. Kreśli obraz relacji między

1 Redakcja pozostawiła oryginalne zapisy dwuczłonowych imion z dywizem.

rodzicami i ich dziećmi. Przedstawia sytuacje i wydarzenia, które tworzyły ich późniejszą drogę zawodową i życiową. Wspomina trudności jakich doświadczali członkowie rodziny, by osiągnąć stabilizację życiową. Snuje refleksje o tych, którzy odeszli i tych, których nigdy nie poznał. **Słowa kluczowe:** wspomnienia; rodzina; historia rodzinna; Goraj; Jerzy Antoni Kowalczyk

*Reminiscencje rodzinne dedykuję swojemu bratu
Prof. Jerzemu-Antoniemu Kowalczykowi
w 5. rocznicę śmierci*

Motto

„Najlepszym rozwiązaniem jest opowiadanie świata przez historię rodzin”².

Wstęp

Był mroźny 20 stycznia 1923 roku, minęło wiele lat zanim się tu spotkali. On jako dzieciak ciągnął ją za czarny warkocz w czteroklasowej carskiej szkole w Baranowie nad Wieprzem, podobała mu się, bardzo dobrze się uczyła, umiała ładnie mówić po rosyjsku.

Ich drogi jak to zwykle bywa rozeszły się. On został powołany do kawalerii w Petersburgu, Ona wypiękniała, wyszła za mąż za sekretarza miasta Baranowa nad Wieprzem, zamieszkała z nim w ładnym domu, urodziła syna, niestety mąż zaziębił się, dostał zapalenia płuc i zmarł. Wyprowadziła się z pięknego służbowego domu, wróciła mieszkać do rodziców. Zarabiała na siebie, założyła firmę krawiecką, zatrudniała uczennice, w tym salonie szyte były eleganckie stroje dla pań, umiała to robić, bo zanim wyszła za mąż ukończyła w Lublinie szkołę kroju i szycia.

On wrócił z wojska z Petersburga, rozpoczął studia w Szkole Muzycznej w Warszawie, za dwa lata wybuchła pierwsza wojna, zostawił więc swój prywatny fortepian na przechowanie na korytarzu konserwatorium, poświęcił się muzyce, założył rodzinę, doczekał się trójki dzieci, po urodzeniu trzeciego dziecka jego żona zmarła.

On miał 32 lata, Ona 31 lat, młodzi, a tak ciężko doświadczeni przez życie, stali tego dnia 20 stycznia 1923 roku przed ołtarzem kościoła pa-

2 Simon Sebag Montefiore (ur. 1965 w Londynie) – słynny brytyjski historyk i dziennikarz, autor książki *Świat. Historia rodzinna* oraz wielu biografii wybitnych ludzi.

rafialnego w Baranowie nad Wieprzem, z wielką nadzieją, że odnajdą razem róże pomiędzy cierniami swojego życia, mówili do siebie z czułością: Antosia i Józio.

Kiedy po latach, pół roku wcześniej, spotkali się latem znów w Baranowie, poszli na spacer nad groblę Wieprza jak za dzieciennych szkolnych lat i siedzieli długie kwadransy w milczeniu, każde z nich bało się pierwsze odezwać, oboje myśleli o tym samym, że przeznaczenie podpowiedziało im, że ich los to wspólna droga życia.

Nie wiedzieli nasi rodzice, że spełnią się ich marzenia o wykształceniu swoich dzieci, nie wiedzieli o tym, że ich dziesięcioro wnucząt także ukończy studia.

Gdy za oknem w grudniu przyszła ostra i mroźna zima 2022 roku, najmłodszy członek rodziny Kowalczyków Jan-Zenon tego samego roku zobaczył po raz osiemdziesiąty „wiosnę”³. Kto by to przypuszczał, że życie to jeden dzień mojego istnienia w kosmosie wśród słowa, obrazów, muzyki i historii, towarzyszących mi od dziecka. Jak ująć ten kosmos w kilku słowach, gdy życie składa się z setek czy tysięcy epizodów, kształtujących każdego z członków rodziny, a atmosfera własnej rodziny wyzwalała pasje życia mimo skromnych warunków bytowania.

„Życiorys nie jest przedmiotem do dyskusji”, jak stwierdziła nasza noblistka Olga Tokarczuk. Napisała, że „należy zrewanżować się tym samym”, ale jak tu się rewanżować, gdy człowiek nie jest pisarzem. Olga Tokarczuk jednak dodała: „pisarzem się bywa, nawet jak się nim nie jest”, a skoro tak, to trzeba uznać fakt, że na kroplę wspomnień rodzinnych nigdy nie jest za późno.

Czasy wojny

W 1942 roku zima była śnieżna i mroźna. Środek wojny, 12 lutego, w Potoku Wielkim pow. Janów Lubelski, w budynku starej organistówki, dziś nieistniejącej, rodzi się siódme dziecko – syn miejscowego organisty Józefa Kowalczyka i jego żony Antoniny z domu Olszak primo voto Wierzchowskiej. Wątle niemowlę zostało ochrzczone wodą przez przyrodniego brata Nikodema Wierzchowskiego (ps. z AK Ramzes) i są-

3 12 lutego 1942 roku urodził się autor wspomnień Jan-Zenon Kowalczyk. W grudniu 2022 roku Zenon podjął decyzję, by spisać wspomnienia, zakończył w lutym 2023 roku.

siadkę panią Wilczopolską, dziecko otrzymało imię Jan-Zenon, odwrotne imię do tego jakie miał najstarszy brat, który nie wrócił z wojny.

Wojna to nie był najszcześniejszy moment na urodzenie dziecka. Rodzice Antonina (1892-1974) i Józef (1891-1976) wiedzieli, że Zenek (Zenon-Jan), syn z pierwszego z małżeństwa ojca, nie wróci z frontu. W lutym 1940 roku rodzice otrzymali kartkę pisaną po rosyjsku ze szpitala w Lubomlu, obecnie na terenie Ukrainy. Szpital zawiadamił o śmierci Zenka 22 września 1939 roku. Rocznik 1919 to byli Kolumbowie tamtych dni. Trafili na nieszczęsny czas życia. Kolega Zenka opowiadał, że obaj jako podchorąży służyli w 9 Pułku Piechoty Legionowej w Zamościu, na początku wojny 1939 roku, we wrześniu 2 tygodnie przebywali w zawieszonych barakach wojskowych w Chełmie, zawsze głodni, dawano im zamiast jedzenia opiumowane papierosy amerykańskie, rwali się do walki, po dwóch tygodniach wysłano ich na front, by walczyć z niemieckim okupantem. Był ostrzał, Zenek prosił, aby zamienili się na stanowiska w okopach, ledwo się zamienili Zenek dostał strzał w głowę, po pięciu dniach 22 września 1939 roku zmarł w szpitalu w Lubomlu. Zenek (Zenon-Jan) został pochowany w zbiorowej mogile polskich żołnierzy na cmentarzu w Lubomlu. Zenek cały czas pisał błagalne listy i z Zamościa, i z Chełma o paczkę z domu z jedzeniem. Wojsko w 1939 roku głodowało, nie mieli też dostatecznej ilości ciężkiej broni, aby walczyć.

17 sierpnia 1980 roku ukazał się artykuł brata Jerzego – historyka sztuki z Instytutu Sztuki PAN Warszawa – w lubelskiej „Kamienie” pod tytułem *Listy brata* poświęcony pamięci najstarszego brata Zenka, który w ostatnim liście do siostry Henryki pozostawił jednozdaniowy testament: „pamiętaj o tym, aby dopomóc by wszyscy się wykształcili”. Testament został spełniony.

Wiele lat później brat Jerzy (1930-2018) dotarł do Lubomla, wykarzcował ze znajomym Polakiem z Lubomla część kwatery żołnierzy pochowanych w 1939 roku, przekazał znajomemu drobną kwotę na krzyż i tablicę z imieniem i nazwiskiem Zenka. Wtedy przywiózł z tej kwatery ziemię. Urna z prochami z tej kwatery została złożona 10 czerwca 2021 roku w grobowcu rodzinnym na nekropoli przy ulicy Lipowej w Lublinie (sekcja 4b, rz. V, nr 2), podczas pogrzebu siostry Anny (1926-2021).

Okres drugiej wojny był ciężki szczególnie na Lubelszczyźnie, gdzie na Bugu była linia demarkacyjna pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim, zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 roku. Niemcy przystąpili niezwłocznie do zbudowania kilkunastu obozów

koncentracyjnych na terenie Lubelszczyzny, z których największe to KL Bełżec, KL Lublin-Majdanek i KL Sobibór. Nikt z rodziny nie wiedział wówczas, że kilkadziesiąt kilometrów dalej w obozie koncentracyjnym KL Bełżec wymordowano w 1942 roku pół miliona Żydów i ok. 1500 osób innych narodowości w przeciągu pół roku. Obóz zlikwidowano, a na tym miejscu posadzono las. Tysiąc jeńców, którzy dokonywali likwidacji obozu w Bełżcu, spalono w piecach krematoryjnych KL Sobibór.

Łapanki nie omijały mieszkańców miast i wsi. W Potoku Wielkim gdy były łapanki, ojciec i inni mężczyźni chowali się na strychu kościoła, wchodzili tam po drabinie, szli po dosyć wątych starych deskach sklepienia kościoła do końca i czekali do nocy nad sklepieniem zakrytym aż minie obława. Na strych kościoła prowadziła drabina z chóru, właz był zostawiany zawsze otwarty.

Z opowiadań rodzinnych wiadomo, że w 1944 roku w Potoku Wielkim były walki frontowe. Niemcy pewnego wiosennego ranka jedli śniadanie obok plebanii na zbitym z desek stole, po śniadaniu rozebrali ten stół i pod linijkę ułożyli deski pod płótem. Wzięli ekwipunek i wkrótce opuścili w pośpiechu podwórko, gdy ustały salwy karabinu maszynowego ich oddziału ustawionego obok stodoły proboszcza. To rosyjski bosy żołnierz, który miał na ramieniu karabin na sznurku, a którego ojciec widział przed chwilą za kępą wysokich pokrzyw przy płocie z nożem w ręku, podczołgał się i wbił ten nóż pewnie w plecy Niemcowi przy tym karabinie maszynowym, bo nagle ustały z niego głośne wystrzały. W mgnieniu oka z pobliskich domów i organistówki ludzie wybiegli chowając się z dziećmi do olbrzymiej piwnicy proboszcza, stojącej po drugiej stronie stodoły na polu. W piwnicy było ciemno, podobno krzychałem głośno „ćem pokoju”. Ojciec trzymał mnie na ręce – takiego dwuletniego brzdąca i uspokajał. Nagle otwierają się drzwi od piwnicy, rosyjski żołnierz wprost w ojca z wycelowanym karabinem przygotowanym do wystrzału spodziewając się ukrytych Niemców, ojciec po rosyjsku „Ne strelyayte, my Polyaki” (nie strzelaj, my Polacy), żołnierz pobiegł dalej. Po dłuższej chwili wróciliśmy do domu, nagle jakiś samolot, prawdopodobnie niemiecki, zaczął zrzucać bomby, rozpierzchli się wszyscy w różnych kierunkach. Mnie, 2-letniemu malcowi, kazali pobiec i położyć się w brudę między kartoflami w pobliżu starej organistówki. Nalot minął, a mnie nie ma, wszyscy myśleli, że trafiła mnie bomba. Gdy słonko zaczęło ostro przypiekać, obudziłem się w tych kartoflach i pobiegłem do domu krzycząc, że jestem głodny.

W 1944 roku na wiosnę w trójkącie Janów Lubelski, Kraśnik, Stalowa Wola teren był prawie bez wojsk niemieckich, działała partyzantka, pociąg wracający z niemieckimi oficerami na urlop z kierunku Rozwadowa, został wykolejony za Zaklikowem, Niemcy w kalesonach uciekali do pobliskich lasów, wielu z nich zginęło z rąk partyzantów.

Ojciec patrzy i oczom nie wierzy: wojsko rosyjskie wbija haki w kościół i przywiązuje do nich swoje konie. Jedni żołnierze zmuszają najbliższych gospodarzy, aby przywieźli pokarm dla koni, inni – głodni, zziębnięci – rabują co się da w okolicznych domach. U proboszcza w ogrodzie stało kilka rodzin pszczelich, jeden żołnierz rosyjski otworzył daszek ula, rozsunął ramki, wyrwał z jednej ramki kawał plastra i zaczął jeść razem z woskiem. Rozmawia ojciec z nim po rosyjsku, żołnierz patrzy na pszczoły i na wylotek ula i mówi do ojca, „u nas pczely kak gusi, triszczit piszczit no lezi”. Przenocowali w stodole u proboszcza i na drugi dzień rano pojechali dalej na koniach na oklep z okrzykiem „za Stalina, za rodzinu, wpieriod” (za Stalina, za ojczyznę, naprzód). Ojciec wszedł do mieszkania i mówi: „To wojsko z karabinami na sznurku i boso ma wygrać wojnę z Hitlerem? My w kompanii przybocznej matki cara w Petersburgu w 1912 roku mieliśmy 6 mundurów, szósty galowy i porządne konie”.

Lata szkolne

Na dobrą sprawę reminiscencje moich dziecięcych lat sięgają czasu, gdy miałem kilka lat i starsza siostra Anna Kazimiera (1926-2021), zwana w domu Kachunia, przywoziła mi z Lublina kolorowe książeczki. Do Szkoły Podstawowej w Potoku Wielkim zacząłem chodzić w 1948 roku, jak miałem 6,5 roku. Moim kolegą był wtedy Staś, syn kościelnego. Zabawy z nim były przednie, najlepsze po ulewie kiedy puszczało się statki w rowie po deszczu.

Nasza nowa organistówka jako dom parafialny była drewnianym, okazałym domem na wsi, stojącym obok kościoła. Wokół ten dom, staraniem mamy, ukwiecony był co roku klombami z różnymi kwiatami. Alejkami ogrodu szły w niedzielę gospodynie wiejskie do kościoła, najpierw do studni, by umyć nogi i założyć buty niesione dotąd w ręku. Niektóre gospodynie z odleglejszych wiosek mama częstowała szklanką herbaty.

Ta studnia została wybudowana w 1950 roku przy ogrodzeniu kościoła, nie było jej gdy byłem w pierwszej klasie, kiedy pisałem piórem ze stalówką koślawymi literami dużo listów do starszego rodzeństwa w Lu-

blinie. Oni uczyli się i studiowali, mieszkając w drugim naszym domu przy ulicy Rury Jezuickie 6 (dziś Nadbystrzycka). Pisałem na przykład, że „dzisiaj się nie myłem, bo u sąsiada Wendra studnia się zawałiła”.

Pamiętam te wieczory przy białej lampie naftowej stojącej na środku stołu nakrytego białym obrusem. Po drugiej stronie stołu siedział ojciec, wypełniał akta metrykalne i pisał niezliczoną ilość korespondencji, ja pisałem literki piórem maczanym w kałamarzu z atramentem. Pod koniec roku ojciec spisywał listy nazwisk w aktach metrykalnych i pokazywał, że ludzie po wojnie nie umieli czytać i pisać, akta podpisywali trzema krzyżykami, mówił do mnie: „widzisz, ucz się, abyś nie podpisywał się w życiu trzema krzyżykami”.

Chodzenie z ojcem po listy od rodzeństwa, codziennie o godzinie 10 na pocztę, która mieściła się w długim drewnianym budynku po drugiej stronie rzeki Stanianki, było dla mnie jako dziecka rytuałem. Listy do rodziców rodzeństwo pisało codziennie i codziennie ojciec odbierał je na poczcie. W latach czterdziestych poczta funkcjonowała perfekcyjnie, list wrzucony przez rodzeństwo poprzedniego dnia wieczorem w Lublinie, odbierany był rano w stacji kolejowej Rzeczyca i jechał wozem konnym 6 kilometrów do naszej wsi.

W prawej części domu obok poczty był sklep spożywczy, tu jako dziecko kupowałem dla ojca tytoń i bibułki do robienia papierosów. Ale ten czas to też pasienie czerwonej starej krowy, której wiek sięgał lat trzydziestych, miała krótkie po złamaniu rogi, przyprowadzałem ją z pastwiska, aby przy studni napiła się wody. Z tą krową to był problem, najczęściej w sobotę, kiedy przyjeżdżał ktoś z rodzeństwa z Lublina po wałówkę do domu, krowę uwiązywałem przy paliku. Krowa była silna, palik wyrwała i zwykle pała się na łące proboszcza z jego krowami. Tam wyprowadzała je obfita w kształtach gospodyni, która mieszkała razem z nim. Na drugi dzień proboszcz robił ojcu awanturę o naszą krowę.

Gdy ktoś z rodzeństwa przyjeżdżał w sobotę były długie ciekawe opowiadania. Rodzice cieszyli się każdym najmniejszym sukcesem nas – dzieci, martwili kłopotami nas wszystkich. Te rozmowy o nauce, o szcunku dla drugiego człowieka wyniesione z domu wydają się z perspektywy lat czymś wielkim, stanowiącym fundament rodziny. Ile to wszyscy i każdy z osobna mógł pokonać trudności, odzyskać wiarę w siebie, rozwijać pasję, żyjąc w tak dużej rozumiejącej się grupie, której ogniwem byli rodzice.

To rodzinne ogniwo przetrwało z siedmiorgiem dzieci okupację hitlerowską, czasy powojenne, które były równie siermiężne. Na wsi wstyd

było kupować mleko u sąsiada. Już przed wojną w domu była krowa, w czasie okupacji także zakamuflowany w komórce świniak, po podwórku biegały kury. Ojciec pracował w Potoku Wielkim na stanowisku organisty w latach 1935-1961.

Dla mnie – małego dziecka atrakcją było pieczenie przez ojca na ogniu opłatków w metalowych rusztach, potem przygotowywanie wiązanek świątecznych z tymi opłatkami. W latach pięćdziesiątych ojciec zamawiał opłatki już w firmie, otrzymywał gotowe w paczkach. Przed świętami Bożego Narodzenia było rozwożenie opłatków do domów na terenie bardzo dużej parafii. Ojciec jeździł furmanką ze śpiewakiem Władkiem Rudnickim, rozwoził opłatki. Nie wszyscy mieli pieniądze, aby zapłacić, to dawali miseczkę jakiegoś zboża.

Kartofle były swoje, mleko też, kasza gryczana i mąka stały w workach na ganku. Gdy ktoś z rodzeństwa przyjechał po jedzenie w sobotę, mama piekła chleb w piecu, dawała zawsze bochen chleba i kawałek słoniny dzieciom do Lublina. Przeważnie Kachunia ten kawałek słoniny dzieliła na 6 części, dodawała skrawek przyrządzony na patelni, wrzucała do kartoflanki, aby codziennie było trochę tłuszczu w jedzeniu. To trwało latami.

Przed wojną troje najstarszego rodzeństwa uczyło się w Lublinie w szkołach średnich: Nikodem-Wacław (w domu Wacek), Zenek i Henryka mieszkali w coraz to innych wynajmowanych stancjach. Gdy zginął Zenek do pozostałych dołączyła Kachunia. W czasie okupacji mieszkali w małym nieogrzewanym pokoiku na parterze budynku, na Starym Mieście przy ulicy Grodzkiej 20.

Na Starym Mieście strach było mieszkać, oprócz zimna w pokoiku rodzeństwo przyglądało się przez szparę w okiennicach, jak Niemcy pędzili w wielki mróz więźniów w samych drelichach z więzienia na Zamku do nowo otwartego obozu koncentracyjnego na wzgórzu Majdanek. Dookoła pochodu szli Niemcy z karabinami i z psami, gdy któryś z więźniów upadł, zabijali go zostawiając na ulicy. W tej sytuacji każdy młody człowiek dorósł w mgnieniu oka i myślał o tym, aby nie dać się zabić.

Wacek – mój chrzestny i przyrodni brat

Tak wielką rodzinę trzeba było utrzymać w tym okresie koszmaru wojny, więc ojciec kupił ze współnikiem młyn wodny w Kaleniu koło Kurowa. Jest takie zdjęcie z 1940 roku jak ojciec siedzi w kapeluszu przy młynie

obok koła napędowego, w otwartych drzwiach Nikodem-Wacław Wierchowski najstarszy brat przyrodni z pierwszego małżeństwa mamy, ps. z AK Ramzes. Wacek na co dzień nadzorował funkcjonowanie młyna, a w nocy przeważnie szedł z kolegami na akcje. W domu mieszkał dowódca AK Okręgu Puławy kapitan Leśniewski. Pod kołem młyńskim był skład broni Oddziału Okręgu Puławskiego AK. Gdy Niemcy w czasie okupacji udawali się z Puław do Lublina, były po drodze ustawione tabliczki z napisami „Zonen banditen” (strefa bandytów). Zawsze samochodom towarzyszyła niemiecka tankietka z bronią maszynową. W czasie wojny na łąki obok młyna w Kaleniu w biały dzień zrzucały na spadochronach dostawy broni dla partyzantów przez brytyjskich lotników.

Gdy nadeszła następna zaraza ze wschodu w roku 1944, kolejna ludobójcza organizacja NKWD wydała wyrok śmierci na członków AK. Sulencie wyrwano język w Puławach – nie zadenuncjował kolegów, ani Nikodema, na którego wydano także wyrok śmierci. Nikodem-Wacław ukrywał się przez trzy miesiące w ziemiance, do stycznia 1945 roku. Dostał zapalenia płuc, został przywieziony furmanką 30 km do Lublina pod słomą. Wacek trafił na poddasze przy ulicy Piechoty, do nieogrzewanego pokoiku na strychu, z małym okienkiem w stropodachu. W tych warunkach z Henryką rozpoczęli naukę Jerzy i Staszek, pomieszczenie miało ok. 10 m². Tam stały dwa małe łóżeczka, mały stolik i piecyk metalowy z rurą, tzw. „suczka”. W nocy zamarzała woda w wiadrze, a podczas odwilży z sufitu kapała woda. Henryka, najstarsza siostra, tego samego dnia w niedzielę poszła do doktora Michała Voita, późniejszego profesora Akademii Medycznej w Lublinie, mieszkającego przy ulicy Jasnej, powiedziała, że nie ma pieniędzy, przywieźli brata AK-owca i prosiła o ratunek. Doktor umieścił Wacka z wysoką temperaturą w szpitalu przy ulicy Staszica. Nie bał się represji. Bo w szpitalach też NKWD szukało ludzi z AK. Ale był problem z dostarczeniem chorego do szpitala, Henryka pożyczyła taczkę od dozorczy i na taczce zawiozła przez miasto brata do szpitala. Tu podłączono Wackowi dreny do obu płuc, ropa spływała do słoików na podłodze. Doktor powiedział, że jak organizm zwalczy ropę będzie żył. Nie było wtedy antybiotyków. Henryka codziennie już o 7 rano odwiedzała Wacka w szpitalu, karmiła go łyżeczką, bo nie miał siły nawet podnieść łyżki do ust, prała i gotowała mu. Trwało to dziewięć miesięcy. Gdy wyszedł ze szpitala ważył jak chłopiec 35 kilo. Wyjechał na wiele lat na Śląsk, tam zatrudnił się jako robotnik i zaczął zaoczne studia na Politechnice w Gliwicach na Wydziale Elektrycznym, który ukończył. Jako inżynier mechanik uczestniczył w wielkich przedsięwzięciach: bu-

dowie elektrociepłowni w wielu miastach na Śląsku. Wacek (1919-1980), mój ojciec chrzestny, zmarł w Lublinie 29.07.1980 roku na zapalenie płuc. Nie doczekał wolnej Polski, o którą walczył.

Edukacja Jurka

Początki reszty starszego rodzeństwa po wojnie nie były łatwe. Ambicją rodziców było, aby wszystkie dzieci otrzymały przynajmniej maturę. Troje uczyło się przed wojną, w sumie sześcioro rodzeństwa uczęszczało w Lublinie do szkół średnich. Mieszkali w okropnych warunkach, cierpieli biedę. Bracia Jerzy (w domu nazywany Jurkiem) i Staszek mieli początki gruźlicy.

Jerzy wielokrotnie wspominał jak wysiedli z ojcem przed dworcem w Lublinie, przespali pod snopkami na polu noc, aby rano mógł zdawać egzamin do Gimnazjum im. St. Staszica, to była jesień 1944 roku, na ulicach rozbite czołgi. Początki były bardzo ciężkie, trudno było dostać się do Lublina, aby zapisać się do szkoły. Długa była droga Jurka do tego, aby jako historyk sztuki mógł znaleźć się na stronie Encyklopedii Uczonych Polskich.

W Lublinie już w połowie sierpnia 1944 roku przystąpiono do organizacji nauki w szkołach. Na ulicach stały jeszcze rozbite czołgi i samochody. Trzy miesiące po wyzwoleniu Lublina 23 października powołano do życia Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w warunkach polowych tuż powojennych, kiedy nie było nic, ani sal, ani książek, ani papieru, dosłownie nic, z całej Polski przyjechało około 40 profesorów, najwięcej z ośrodków ze Lwowa i Wilna, którzy nie zginęli. Gdy Jurek przyjechał z Potoka Wielkiego, gdzie uczęszczał do wiejskiej szkoły o skromnym programie nauczania trudno było mu dostosować się do poziomu szkoły średniej gimnazjum Staszica. Ale determinacja i pilność, jak wspominał Jurek, dały efekt. W III klasie napisał najlepiej dyktando z języka francuskiego. W tym gimnazjum Jurek odkrył dwie pasje: rysunek i historię. Uwielbiał lekcje rysunków i elementów historii sztuki, dziedziny, której poświęcił 50 lat badań naukowych. Wiele rysunków ze szkolnego okresu przekazał do Muzeum na Zamku Lubelskim. Historią zainteresowała Jurka najstarsza siostra Henryka studiująca na KUL-u pedagogikę z historią, miłośniczka i późniejsza kolekcjonerka pamiątek i biografii. Henryka w czasie okupacji udzielała korepetycji z historii i literatury grupie młodzieży w Potoku Wielkim.

Jurek zaczął zbierać książki historyczne, wydawane po wojnie na gazetowym papierze, przeczytał tych książek ponad 100. W klasie gdzie było 36 uczniów, więcej było uczniów z rodzin chłopskich, lepsze wyniki mieli chłopcy z rodzin inteligenckich, ładniej mówili, ładniej byli ubrani, szydzili z Jurka, że przyjechał ze wsi. Jurek nie załamał się, podobnie jak inni chłopcy z klasy mobilizował się maksymalnie do pracy i nauki. Z tej klasy status społeczny i naukowy osiągnęło oprócz Jurka kilku jego kolegów.

Po zdaniu małej matury w 1948 roku w gimnazjum Staszica Jurek kontynuował naukę w liceum Jana Zamoyskiego przy ulicy Ogrodowej. Przed samą maturą chcieli Jurka wyrzucić, bo upomniał się o księdza. Maturę zdał, ale na architekturę w Gliwicach się nie dostał z uwagi na klerykalne pochodzenie. Pozostała historia sztuki na KUL-u. Po trzecim roku dalsze studia i praca naukowa do habilitacji na Uniwersytecie Warszawskim w Instytucie Historii Sztuki, potem w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie.

Moja edukacja, wakacje i motoryzacja

Nadchodzi okres u dziecka, kiedy stara się zrozumieć swoje związki z historią pokoleń, a moje marzenia lat dziecińczych powracają po 80 latach jako reminiscencje zapamiętanych epizodów, z których nie wszystkie były śmieszne i wspaniałe. Gdy miałem 10 lat w 1952 roku, odczułem wściekły ból w prawej nodze. Mama zawiozła mnie do najbliższego lekarza, jechaliśmy furmanką 8 kilometrów z Potoka Wielkiego do Zaklikowa. Lekarz dał skierowanie do szpitala w Lublinie. Prof. Jacyna-Onyszkiewicz zobaczył na zdjęciu rtg, że jest wżer w strzałce o długości 2 cm, podjął decyzję o amputacji całej nogi. Mama nie spodziewała się czego ma dotyczyć operacja, więc zgodziła się na nią. Profesor zaprosił swoich kolegów na pokazową operację. Interwencja Henryki i Jurka, którzy znaleźli się nagle w szpitalu, zabrali mnie ze stołu operacyjnego spowodowała wściekłość profesora. Upierał się i przekonywał, że są doskonałe protezy, mało Henryki nie wyrzucił z gabinetu, krzyczał, że nie jest prawnikiem i nic nie będzie radził. Kilka dni później ojciec zawiózł mnie do prof. Witolda Grucy na Kredytową 2 w Warszawie. Profesor wziął nogę w gips, który osobiście założył, kazał pod godzinę odżywiać się (wg harmonogramu), zapisał zastrzyki z penicyliny, które dopiero co pojawiły się i kosztowały rodzinę krocie i pielęgniarkę, która codziennie przy-

chodziła do domu robić te zastrzyki. Po trzech miesiącach ubytek został przez organizm odbudowany, noga funkcjonuje 71 lat, do dziś.

Nadszedł wtedy dzień, gdy odłączyłem się od rodziców i zamieszkałem razem z rodzeństwem pod opieką najstarszych siostr Henryki i Kachuni. Rozpocząłem naukę od IV klasy w Szkole Podstawowej nr 13 przy ulicy Prezydenta Gabriela Narutowicza w Lublinie, w Śródmieściu. Dzięki częstym wyjazdom grupą do rodziców rozłąka nie była zbyt straszna. Ojciec wysyłał po nas furmankę do stacji kolejowej Rzeczycy; przyjeżdżali po nas chórzyci: Władek Rudnicki, Lewandowski, albo stary Mech.

Wakacje były tym okresem, kiedy wszyscy przyjeżdżali do rodziców gromadnie, już ze swoimi dziećmi, do dziadków na wieś. Na początku było kilkanaście osób, potem ponad dwadzieścia.

Pod koniec lat 50. pojawiła się w rodzinie pierwsza motoryzacja. Brat Staszek zakupił na raty motocykl z przyczepą M-70. Wtedy we trójkę z Henryką i Kachunią wybrali się na wycieczkę, by zwiedzać kraj. Jest takie foto w albumie rodzinnym jak oni znajdują się przed portalem katedry na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu. Najmłodsza z trzech siostr Alina Wendrowska, z domu Kowalczyk, z Tadeuszem mieli mały skuter Lambrettę.

Zwiedzanie i zainteresowanie zabytkami u większości rodzeństwa było już wiele lat wcześniej pod wpływem zainteresowania sztuką Jurka, który wówczas podjął pracę naukową w Instytucie Sztuki UW w Warszawie. Ale o Juku jednym z czworga urodzonych w Goraju na Roztoczu, gdzie ojciec był organistą w latach 1925-1930, ojciec mówił, że on już od małego dziecka przyglądał się z wielką fascynacją i zaciekawieniem pięknym rzeźbom w miejscowym kościele.

Gdy Jurek studiował historię sztuki w latach 1950-1955, pojazdem którym się poruszał po Lubelszczyźnie zwiedzając zabytki, był stary zwykły rower. Ale w czasach terroru stalinowskiego, poruszać można było się turystycznie mając kartę członkostwa w PTTK i meldować każdorazowo na posterunku milicji. Jurek miał dar do rysowania czymkolwiek, na byle jakiej kartce. Gdy był w jakimś kościele, musiał narysować jak najwięcej detali, nieraz przez kilka godzin, jeden z proboszczów nie chciał być przy tym, więc zamknął go w kościele, aby czegoś nie ukradł. W tamtych czasach odnoszono się do obcych z wielką nieufnością. Jurek miał wielkie poczucie humoru, gdy skończył rysować, to wtedy mówił proboszczowi, że jest synem organisty z Potoka Wielkiego. Proboszcz na

to: „to czegoś od razu tego nie powiedział”, patrząc na chudziutkiego marnie wyglądającego studenta, zwykle kończyło się to poczęstunkiem, który przygotowywała gospodyni. Proboszcz ks. Piotr Mazurek z Potoka Wielkiego wiedząc, że Jurek zaczyna pracę naukową z dziedziny historii sztuki, poprosił aby zaprojektował kapliczkę vis-à-vis dzwonnicy. Powstał jedyny w życiu zrealizowany przez Jurka dość duży monument sakralny z granitowych kamieni według jego projektu, o czym nigdy specjalnie nie wspominał.

Wakacyjne pobyty u rodziców w Potoku Wielkim były niekończącym się korowodem przyjazdów i wyjazdów, było wesoło. Jak zapamiętałem w latach 40. i 50. pory roku były jakieś klarowne, zaczynające się w podobnych miesiącach, nie tak jak ostatnio, że w maju sypie śnieg i wokół Lublina padają z głodu rodziny pszczele. W zimie jak byłem mały raz tylko wpadłem do płytkiej studni na łące, gdy zjeżdżałem z góry na sankach. Sam wydostałem się z wody i cały mokry przyszedłem w mróz do domu.

Te zapamiętane wakacje to słoneczne lata, duże okna organistówki otwarte na oścież, ojciec po obiedzie grający na pianinie, wokół kolorowe wysokie dale w alejach ogrodu. Przez nie widać rolników jadących w żniwa na snopach zboża, które wypełniały ogromne drabiniaste wozy, ciągnięte przez konie po nierównej drodze. Wtedy nie było na wsi żadnych traktorów. To był czas lat 50. kiedy technika wkraczała nad Wisłę powoli, mówiło się wtedy, że w sąsiedniej Czechosłowacji są takie maszyny co same piorą. Wywoływało to niemalże takie zdziwienie jak sto lat wcześniej, gdy ludzie zobaczyli pociąg na szynach. Na wsi mówili wtedy, że lucyfer ciągnie piekielną maszynę i będzie koniec świata.

W czasie wakacji jeździliśmy nad wodę, nad wielkie stawy dawnego majątku Przanowskich w Potoczku, gdzie rozkładaliśmy swoje kocyki niedaleko dworu pobudowanego na wzgórzu. Pewnego razu zastała nas burza, schowaliśmy się w kilkoro pod wydrażoną dziurę wzgórza, z którego wybierano piasek. Dzieci w tym czasie biegały gołe pod mostkiem między stawami. Nagle oberwał się i spadł na mnie kawał zbrocza. Byłem przykryty kocem, ziemia przygniotła mnie i moje kolana do ziemi, starsze rodzeństwo zaczęło mnie szybko odkopywać.

Był też wakacyjny czas pracy, pomoc rodzicom, oprócz zamiatania alejek ogrodu i drogi dojazdowej do organistówki ciągnącej się wzdłuż ogrodzenia kościoła, starsze rodzeństwo przecinało ręczną piłą bale na mniejsze kawałki, potem było rąbanie drzewa i układanie bierwion w drewnitni stojącej na podwórku. Zamiatanie pod koniec tygodnia jak

byłem mały i później zawsze należało do mnie. Inną pomocą było noszenie wody ze studni do kuchni.

Wakacje się kończą, czas wrócić do szkoły. Małe dzieci też mają kłopoty – wiosną 1953 roku przychodzi wychowawczynie do naszej klasy i mówi do nas: „kochane dzieci, mam dla was bardzo smutną wiadomość”, tutaj dłuższa chwila – cisza zrobiła się w klasie, wychowawczynie dalej: „umarł Józef Stalin” – wszystkie dzieci zaczęły głośno szlochać.

Od 1953 roku ludobójcza organizacja NKWD przestała wywozić ludzi na Sybir z Lublina i okolic. Zaprzeszono robić tzw. „kotły” jak za okupacji hitlerowskiej, nawet w biały dzień aresztować ludzi na ulicy i w mieszkaniach na danym terenie. Uwięzieni byli przetrzymywani w celach na Zamku Lubelskim i w innych miejscach kaźni hitlerowskich z okresu okupacji, jak Pod Zegarem, na ulicach: Karmelickiej, Chopina, Narutowicza. Stosowne tablice istnieją na lubelskim ratuszu.

Starsze siostry postanowiły zainteresować mnie zbieraniem znaczków, była to mała pierwsza pasja, kilka klaserów przekazałem prawnukowi brata Staszka. Znaczki zbierałem 25 lat. Ale w 1957 roku brat Jurek podarował mi swój aparat fotograficzny Reflekta II, do którego trzeba było kupować błony 6x6 cm, rozpoczęła się kolejna moja pasja – fotografia, która trwa od 65 lat do dzisiaj. Gdy miałem już swój aparat to nie tylko Jurek robił zdjęcia rodzinne, ale też i ja. Z tamtych lat istnieją w szufladzie negatywy ułożone w harmonijkach kalki.

W 1953 roku gdy już nie było więzienia na Zamku Lubelskim, dużą część powierzchni zajęło Muzeum Lubelskie, po lewej stronie część pomieszczeń zajmował Dom Kultury – tam chodziliśmy na warsztaty uczyć się fotografii. Uczono nas nie tylko patrzeć, ale widzieć to, czego inni nie widzą, rejestrować na błonach czarno-białych te ruiny Starego Miasta, które do niedawna przed wyjazdem do stolicy uwieczniał mistrz Edward Hartwig i te mgły wchodzące z rana w ciasne uliczki Starówki. Artysta fotografik mistrz Hartwig, zawsze powtarzał, że najlepsze ujęcia pozostawiamy zawsze za sobą, dlatego trzeba spoglądać do tyłu i nieważne jakim aparatem robisz zdjęcia, ważna jest twoja wrażliwość na otaczający świat i inwencja twórcza. Robiliśmy zdjęcia czym kto miał, potem w ciemni przy czerwonym świetle żarówki wyłaniały się coraz ostrzej tajemnicze kontury. Ceniliśmy każdą klatkę taśmy, bo materiały były bardzo drogie.

Szkoła średnia i studia

Szkoła średnia to poważna rzecz, Technikum Chemiczne nr 2 przy ulicy Bohaterów ORMO 4 (dziś Grabskiego) w dzielnicy Majdanek, w parterowym budynku z wiórów klejonych. Aby dostać się do szkoły trzeba było dojść do Starego Miasta, do ulicy Królewskiej, stamtąd autobusem linii 7 dojeżdżało się na Majdanek ulicą wymoszczoną kocimi łbami, która nazywała się ulicą Męczenników Majdanka. Po drodze często był zamykany na długie minuty przejazd kolejowy. Autobusy były niewielkie, takie „chrabąszcze” – w tylnej części autobusu siedział pan, który sprzedawał pasażerom bilety. Przejeżdżaliśmy przez przejazd, autobus podskoczył na nierównościach do góry i załamała się podłoga. Musieliśmy szybko wysiadać i pchać wrak, aby nie rozjechał nas pociąg. Potem kolejne 2 kilometry szliśmy gęsiego, zdążyliśmy na drugą godzinę lekcyjną.

Czas szkoły średniej to czas na lektury szkolne i inne książki. Zawsze jest ta pierwsza książka w życiu, która na młodym człowieku robi największe wrażenie, moją książką były *Pamiętniki* I.J. Paderewskiego, które spisała Mary Lawton.

Nie tylko po wojnie, ale i w latach 50. były skromne warunki bytowania naszej rodziny. Miałem jedno ubranko, w którym chodziłem całe 5 lat w technikum. Pewnego wiosennego dnia, gdy ledwo stopniał śnieg, nauczyciel PW (przysposobienia wojskowego) Markwart wyszeregował nas w błocie za barakiem szkolnym i dał rozkaz padnij! Wszyscy padli oprócz mnie. Nauczyciel nic nie powiedział, ale zawieszono mnie w czynnościach ucznia i groziło wydalenie ze szkoły, pamiętajmy, że były to lata represji. Zebrała się Rada Pedagogiczna i długo zastanawiali się czy mnie wyrzucić, czy nie. Pod koniec zebrania głos zabrał nauczyciel matematyki, prywatnie szwagier, mąż najmłodszej siostry Aliny i zapytał zebranych, czy wiedzą, że jeśli uczeń zniszczy w błocie ubranie, czy rodziców stać będzie na kupienie mu drugiego ubrania?

Maturę zdałem w tej szkole. Ten nauczyciel był wychowawcą naszej klasy, chcieliśmy zrobić studniówkę, kazał nam kupić cepeliowską kolorową spódnicę i powiesić na ścianie w klasie, mówił do nas, proszę się uczyć, nie myśleć o tańcach, bo ja muszę mieć wyniki we współzawodnictwie klasowym. Jakie czasy takie współzawodnictwo.

Rozpocząłem studia na Wydziale Zootechnicznym Akademii Rolniczej (obecna nazwa Uniwersytet Przyrodniczy), w latach 1962-1967, zakończone specjalizacją z pszczelarstwa. Pracę magisterskie pisaliśmy

z kolegą Tomkiem Kałużnym u naszego promotora, którym był doc. Jan Woźnica. Tomek miał w domu 100 rodzin pszczelich i praktykę. Kiedyś przyszedliśmy do katedry na ulicę Leszczyńskiego i powiedziałem: „panie docencie ja dzisiaj kupiłem dęto i kapelusz pszczelarski, niedługo pewnie będziecie i pasieka”.

W międzyczasie na trzecim roku studiów w 1964 roku odbyłem praktykę semestralną we wzorcowym gospodarstwie WOPR⁴ Końskowola koło Puław, które w 1964 roku było wyposażone w jeden ciągnik Ursus C-45. Wszystkie prace polowe i nie tylko wykonywano przy pomocy koni. Na praktyce semestralnej byliśmy we czworo. Pracowaliśmy fizycznie w różnych działach: na polu, w chlewni, w oborze, ja także w pasiece w Pożogu, potem wysłano nas do Borowiny nad Wisłą, gdzie była hodowla owiec.

„Pany studenty” chodzili w drelichach i w służbowych gumowcach – tak nas nazywano, byliśmy do wszystkiego. Na początek zabrano nas na pole – wiosna, kwiecień, ciepło, 40 hektarów do zabronowania. Pracownik ruszył z czterema bronami do końca pola, wrócił, zapalił papierosa i mówi do nas: „a teraz wy, pany studenty”. Kolega Bogdan pojechał, wrócił, oddał mi konie, potem ja, wróciłem. Pracownik wstał przygląda się i mówi: „pany studenty, a te mijaki, to kto zabronuje, ja”? Pytamy go jak on to zrobił, że jak bronował to nie miał mijaków, on do nas: „widzicie co wam po uczonych dyplomach, jak bronować nie potraficie, pany studenty, to trza na zakładkę, nie zganiajcie na konie, że wam chodziły to na lewo, to na prawo”.

Mówię do kolegi Bogdana humorystycznie: „Bogdan, po co ci dyplom, jak bronować nie umiesz”, on odpowiedział: „ty też nie umiesz, ale moje mijaki były znikome, a twoje jak stodoła duże”.

Przyszła kolej na trzodę chlewną, tam była hodowana rasa puławska, to były świnię średniej wielkości, nie za wysokie, łaciate, czarno-białe, które tuczyły się do potężnych wag. Knur do wagi 350 kg, locha do 280 kg. Tam była pewna tajemnica.

„Panowie – mówił do nas studentów opiekun praktyk – jak pójdziecie do działu hodowli trzody, zwróćcie delikatnie uwagę, czy pracownicy nie wnoszą czasem karmy, bo coś świnię nie przyrastają nam na wadze”. Oho, Bogdan, w spółdzielni jako oko i ucho to my jeszcze nie pracowaliśmy. Schodzimy na dół, bo hodowla była vis-à-vis cmentarza, wchodzimy do jednego budynku trzody, do drugiego, a tu koło naszych

4 WOPR – skrót od Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego.

gumowców w biały dzień szczury latają. Pytamy pracownika: „co, do cholery, wy tu hodujecie świnie, czy szczury”? Czego nie zgłaszacie do dyrekcji? Pracownik mówi: „panie ja mam dzieci, gdzie ja pracę znajdę, to jest przykładowe gospodarstwo, tu musi być wszystko przykładowo”. Zgłosiliśmy do dyrekcji, afera, wyznaczono nam nagrodę, jak pracownicy będą podnosić drewniane podesty, szczury będą uciekać kanałami do zbiorników gnojowicy na zewnątrz: „wy dostaniecie dwie pały, aby w tych zbiornikach ich ubijać, za każdego szczura dostaniecie 1 złotówkę” (litr benzyny wtedy kosztował 5 PLN). „Bogdan chyba śniłeś o takiej robocie”, kolega załamał się, ale rozkaz trzeba było wykonać. Kilka olbrzymich stożków pstrokatej maści szczurów przeliczyli robotnicy za nas, nie upominaliśmy się o zapłatę, bo mieliśmy na tej praktyce znakomity wikt.

Kolej przyszła na praktykę w oborze, tam były hodowane krowy polskiej czerwonej rasy, mleko miało bardzo duży procent tłuszczu ponad 4%, gdy postawiło się na noc szklanke mleka, na rano u góry gromadziło się ok. 1,5 cm tłuszczu.

W końcu doczekałem się kilku tygodni praktyki w pasiece w pobliskim gospodarstwie Pożóg. Hodowlaną pasiekę prowadził inż. Czesław Bojarczuk, prezes Polskiego Związku Pszczelarskiego, człowiek o dużej fachowej wiedzy i niesamowitym humorze. „Popatrz, mówiliście, że wszystko zrobione, a ten ul na końcu krzywo stoi, zapamiętaj, w pasiece nigdy nic nie jest do końca zrobione”. Jako prezes Wojewódzkiego Związku Pszczelarzy wysyłał mnie po studiach do miast powiatowych na zebrania, aby szkolić pszczelarzy, mówił: „jak któryś będzie z batem w pierwszym rzędzie spał, opowiedz kawał, jaka jest różnica między pszczołą państwową a prywatną, państwowa pracuje do 15, ta druga do nocy”.

Jurek

Te wszystkie wydarzenia działy się w różnych miejscach i czasie. Jako młody chłopak cały czas byłem w oczach starszego rodzeństwa uważany za dziecko, rodzeństwo miało różne zawody po studiach, przeważnie humanistyczne i przyrodnicze. Wiodącą osobowością w rodzinie był Jurek, nie dlatego, że pracował naukowo, ale zajmował się sztuką. Gdy przyjeżdżał do domu do Lublina, noce były zarwane, opowiadaniom i jego odkryciom nie było końca. Spotykał na swojej drodze wybitne osobo-

wości ze świata kultury i sztuki. W tych opowiadaniach nie uskarżał się, że traktowano go w niektórych kręgach inteligencji warszawskiej jako takiego, który przyjechał z prowincji. Nie udzielał się towarzysko, nie należał do żadnych partii politycznych, to go nie interesowało, zresztą lata 50. i dalsze ubiegłego wieku to był okres, gdzie za kawał o Związku Radzieckim można było pójść do więzienia. Jurek oddany był bez reszty sztuce i ochronie zabytków. O Gardzienice pokłócił się ze swoim przyjacielem Mietkiem Kurzątkowskim, wojewódzkim konserwatorem zabytków w Lublinie, nie rozmawiali ze sobą wiele lat. Pod koniec życia pogodzili się w specyficzny sposób, postanowili, że kto pierwszy umrze, ten drugi napisze o nim wspomnienie⁵.

Na początku lat 60. Jurek często przyjeżdżał do Lublina, bo przygotowywał pracę doktorską o kolegiacie w Zamościu, dzisiejszej katedrze. Rozrysowywałem mu w wakacje, jak zdałem na studia w 1962 roku, na stole kreślarskim w domu rzuty kolegiaty i planu miasta Zamościa, detale kolegiaty. Nakładał kalki planu kolegiaty na plan miasta. Rozwiązywała się w jego myślach koncepcja antropomorficzna filozofii hetmana Jana Zamoyskiego przedstawienia świata w postaci architektury jako miasta idealnego, tak idealnego jak same proporcje człowieka. Symboli w całej budowli świątyni jest wiele, poczynając od ewangelicznych kończąc na symbolu światła, które pada przed ołtarzem, gdzie kapłan trzyma monstrancję i porządkach kolumn korynckich jako symbolu piękna, na zewnątrz doryckich jako symbolu zwycięstwa.

Pracę doktorską Jurek zadedykował rodzicom, została przygotowana do druku z rysunkami profesjonalnego kreślarza. Została ona uznana jako modelowa. Jeden z wielkich autorytetów sztuki prof. Jerzy Szablowski wraz z gratulacjami podarował Jurkowi jeden z dwóch posiadanych egzemplarzy swojej przedwojennej pracy doktorskiej ze Lwowa.

Jurek często przyjeżdżał ze „szczołkami” swoich prac przesyłanych przez wydawnictwa, to są szpalty tekstu z naniesionymi poprawkami lub do uzupełnienia autorskiego, wykorzystywał każde 15 minut, aby spojrzeć jeszcze na kawałek tekstu i sprawdzić czy nie ma błędów, zanim poszedł spać. Zawsze musiał mieć w druku w ciągu roku 8 do 10 artykułów naukowych. Ale tu do domu w Lublinie Jurek także przyjeżdżał z gośćmi, jak prof. Gastone Belotti, włoski przyjaciel, muzykolog, który napisał trzypięciotomowe dzieło o Chopinie, późniejszy juror Konkursu

5 Mieczysław Kurzątkowski zmarł w 2000 roku. Urodzony w Lublinie w 1932 roku, tu również zmarł.

Chopinowskiego w Warszawie. Wstąpili razem z żoną prof. Belottiego do naszego domu na obiad w drodze do Zamościa. Jak przystało na przyjaciela, Gastone chciał, aby Jurek kiedyś poznał piękną Włoszkę, córkę znajomego przemysłowca. Jurek powiedział, że w Polsce czeka na niego narzeczona. Gdy wrócił po półrocznym stypendium z Italii jego narzeczona była już żoną innego mężczyzny. Jak powiedział prof. Władysław Tatarkiewicz: „Antytezą miłości nie jest nienawiść, jest nią inna miłość”.

W 1967 roku kupiliśmy we troje z Henryką i Kachunią pierwszy luksusowy na tamte czasy samochód, nazywał się Syrena 104. Kosztował 45 tys. złotych⁶. Wzięliśmy wszyscy pożyczki w pracy i spłacaliśmy wiele miesięcy, taki był raj. Była podróż nad morze, ale też tym samochodem woziłem do Zamościa Jurka i panią prof. Elenę Bassi, która z Jurkiem opracowywała jakąś książkę.

Do Zamościa Jurek woził przeważnie wszystkich gości zza granicy, to były czasy kiedy byliśmy za żelazną kurtyną. Można dzisiaj sobie wyobrazić jak dawniej czuła się prof. Bassi, gdy zapadła się na przednim siedzeniu w tej syrenie, a tylko głowa jej wystawała ponad ramę drzwi. Podróżą na wschód Polski była zachwycona, nie mówiąc o Starym Mieście w Zamościu. Zrobiłem im wtedy pamiątkowe zdjęcie.

Ojciec

Ojciec, gdy otrzymał wymówienie z pracy na stanowisku organisty w Potoku Wielkim w 1961 roku z rąk proboszcza ks. Piotra Mazurka, kapelana wojskowego (który nie rozstawał się z bronią nawet w czasie nabożeństw), z argumentacją, że już jest wiekowy, bo ma 70 lat. Oboje rodzice zamieszkali w swoim domu w Lublinie, w mieszkaniu przy ulicy Nadbystrzyckiej 6. Pokój dla rodziców został zaadaptowany z kuchni, w innym pokoju mieszkałem z dwoma siostrami. Jeden z dwóch pokoi po wojnie został zagospodarowany przez Urząd Miejski dla uchodźców zza Buga. Dokwaterowane zostały do niego trzy Polki: babcia, matka i córka. Regulacja granic po wojnie i ogromna bieda spowodowała ciasnotę, kompletny brak mieszkań. Ludzie mieszkali w suterrenach w tej kamienicy do momentu, aż otrzymali mieszkanie.

Ojciec był człowiekiem bardzo towarzyskim, stary kawalerzysta, mimo że w domu było tyle dzieci i niesamowite potrzeby finansowe nie

⁶ Średnia pensja wtedy to ok. 3-4 tysiące złotych.

przywiązywał wielkiej wagi do pieniędzy jako takich. Wypominaliśmy żartobliwie ojcu: „ojciec, ty byś oddał nawet swoją marynarkę obcym”. Gdy mieszkał już w Lublinie poszedł jak zwykle na ulicę Zieloną na Starym Mieście. Tam była siedziba Związku Organistów. Nieraz w tym małym pomieszczeniu zgromadziło się za dużo jego kolegów, wtedy przenosili się na dalsze rozmowy na kawę do Lublinianki, kawiarni przy Krakowskim Przedmieściu, by dyskutować o zamianach pracy z parafii do parafii jako temat stały.

Dawniej ojciec był samozwańczym negocjatorem, pomagał kolegom zastępując ich w załatwianiu zamiany pracy. Ale nikt w jednej parafii nie pracował tyle lat co ojciec w Potoku Wielkim – 27 lat.

Tego dnia jak ojciec spotkał się w Związku na Zielonej, koledzy z entuzjazmem przyjęli go, mówili: „słuchaj musisz natychmiast zgłosić się do proboszcza parafii pw. św. Teresy przy ulicy Krochmalnej, tam będziesz grał i prowadził dwa chóry dla dorosłych i młodzieży przez następne kilka miesięcy”. Zastępstwo trwało dwa lata. A potem kolejne zastępstwo na kilka miesięcy w Niemcach. W 1964 roku ojciec ma 73 lata. W parafii Niemce koło Lubartowa zastępstwo na kilka miesięcy przedłużyło się do 10 lat. Ojciec pracował na stanowisku organisty do 83 roku życia, prowadził chór. Pracował tam w latach 1964-1974. Proboszcz Jędruszek powiedział po czasie ojcu: „jak bym wiedział, że ma pan 73 lata, to bym pana nie przyjął do pracy”, dwa lata później wiele lat młodszy proboszcz zmarł.

Pasieki

Trzy lata później, w 1967 roku ustawiłem w Niemcach za organistówką na łące pierwsze swoje rodziny pszczele. Nie było ogrodzenia, mama posadziła groch tyczkowy, aby osłonić ule od wiatru. Wkrótce pojawił się staraniem ojca i płot, pasieka rozrosła się do kilkunastu rodzin pszczelich. W tym czasie po studiach odbywałem półroczny staż w pasiece WOPR Końskowola w Pożogu, kierowanego przez inż. Czesława Bojarczuka. Drugie pół roku odbywałem staż w Oddziale Pszczelnictwa ISK⁷ w Puławach z siedzibą w Pałacu Marynki.

Po pierwszą rodzinę pszczelą pojechałem do Klementowic, do prywatnej pasieki inż. Czesława Bojarczuka, był to prezent. Olbrzymi ul Da-

7 ISK w Puławach – skrót od Instytut Sadownictwa i Kwaciarnictwa w Puławach.

danta z pszczołami, zmieścił się do Syreny 104, gdyż drzwi samochodu otwierane były od przodu (ewenement w skali europejskiej) postawiliśmy go na miejscu przedniego siedzenia. W czasie jazdy kilka pszczoł latało w środku w samochodzie, ale dowieźliśmy z siostrą Henryką prezent do organistówki w Niemcach w całości. Proboszcz Jędruszek lubił przychodzić ze swojej plebanii do naszego ogródka, opierał się o furtkę i mówił do nas: „dzieci, co wy tam szukacie”? „Miodu, miodu” – mówiłem do proboszcza, gdy robiliśmy z Henryką przegląd kolejnej rodziny pszczelej.

Pasieka w Niemcach była już kilka lat, Jurek nigdy nie miał czasu, aby wpaść zobaczyć nasze „dzieło”, cały czas, od młodości spieszył się. Kiedyś jeszcze jak był młody przyjechał. W ostatniej chwili dopadł pociąg, który ruszał ze stacji Rzeczyca. Jadąc do Lublina stał na ‘breku’ (dawniej pociągi miały długie stopnie ciągnące się wzdłuż wagonu), gdy po pewnym czasie za mocno wychylił się i zaczepił o słup, w pędzie o mało nie zginął. Ratował go dróżnik, który był w pobliżu. Wreszcie Jurek wpadł odwiedzić rodziców w Niemcach. W albumie rodzinnym jest zdjęcie z mamą w drzwiach organistówki, które im zrobiłem.

Z pszczołami związane było życie codzienne lub wakacyjne połowy rodziny mieszkającej w Lublinie. Po kilku latach moja pasieka w ogródku organistówki w Niemcach rozrosła się do ponad 40 rodzin pszczelich. Mama obsadzała teren z dwóch stron grochem tyczkowym. Co niedziele rolnicy przyjeżdżali do kościoła wozami konnymi, konie przywiązywali do sztachet płotu pasieki. Pszczoły były łagodne, selekcyjne krzyżówki rasy kaukaskiej, ale istniało niebezpieczeństwo zaatakowania koni przez pszczoły, zawsze obawialiśmy się tego. Miejsce usytuowania pasieki nie było najszcześniejsze z uwagi na niewielki teren, gdzie pszczoły mogły zdobywać nektar i pyłek. Co wakacje najsilniejsze rodziny były ładowane na platformę samochodu ciężarowego marki Star. Na platformie mieściło się pięćdziesiąt 36 uli, które kierowca spinał pasami, aby jakiegoś ula nie zgubić po drodze, i jechaliśmy z namiotami na urlop. Bliżej albo dalej, jak do Poturzyna 120 km, niedaleko Tomaszowa Lubelskiego, gdzie kwitły w PGR⁸ wielkie arealy roślin miododajnych z koniczyną czerwoną włącznie. My relaksowaliśmy się przy namiotach, a pszczoły zbierały nektar. Po 10 dniach plastry w ulach wypełnione były miodem, bo pszczoły pracowały od rana do wieczora. Nie jak te z kawału – państwowe, które miały pracować do godziny 15.

8 PGR – skrót od Państwowe Gospodarstwo Rolne.

Z ulami jechała na wierzchu miodarka i drobny sprzęt. Ustawiliśmy miodarkę w dużym namiocie gospodarczym i zaczęliśmy odwirowywać miód. Okazało się, że w namiocie było tak gorąco, że nie można było pracować. Wystawiliśmy miodarkę na zewnątrz. Obok stało 36 uli z pszczołami, żadna z nich nie przyleciała do wiaderka pić miodu, tylko latały do kwiatów, niesamowite! Namioty ustawiliśmy w Poturzynie obok łąnów koniczyny czerwonej przy dwóch dużych stertach słomy. Pisaliśmy kartki do Jurka do stolicy, że wysyłamy mu pozdrowienia z ulicy Stertowej, nie z byle jakiego miejsca, ale dawnego majątku, gdzie niegdyś przebywał Chopin u swojego przyjaciela z lat szkolnych właściciela majątku Tytusa Wojciechowskiego. Poturzyn to były ostatnie wakacje Chopina w lipcu w kraju, w listopadzie 1830 roku ze swoim przyjacielem udali się do Wiednia, do kraju Chopin nigdy już nie powrócił. Wiedeń Chopin już raz wcześniej odwiedził – w sierpniu 1829 roku koncertował w teatrze cesarsko-królewskim, był owacyjnie przyjęty.

Na wsi mówią: „nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię”, koledzy ze Związku Pszczelarskiego namówili mnie, aby przejąć za darmo niewielką pasiekę kilkunastu rodzin w starych ulach, typ warszawski zwykły, o wąskich ramkach, innych niż w mojej pasiece. Pasieka stała w okolicy niedaleko pod lasem, w Wandzinie⁹. Ledwo zaopiekowaliśmy się tymi pszczołami, zaczęto opryskiwać las z samolotu jakimiś preparatami. Wszystkie lotne pszczoły wyginęły. Jeszcze tego samego lata przekazałem pasiekę innemu pszczelarzowi. Pszczoły w zmniejszonej ilości były w ulach. Za Wandzinem wydarzyła się pewna historia. Kilka lat później do gospodarza za stodołę wywieźliśmy na przyczepie ciągnikowej kilkanaście rodzin pszczelich na grykę. Ule z pszczołami ładowaliśmy jak zwykle od 2 w nocy. W 1,5 godziny pokonaliśmy 6-7 kilometrów, byliśmy u gospodarza o świcie. Z rosą unosił się ostry charakterystyczny, wyczuwalny zapach z kwiatów gryki. Otwierałem kolejno wylotki wszystkich uli, poustawianych na polnej drodze, wzdłuż wielkiego łąnu. Słońce wyjrzało zza drzew, które w mgnieniu oka zakryła szalejąca chmura pszczół, kilkumetrowej szerokości, oszalałych z zapachu nektaru kwiatów. Takiego niesamowitego widoku nie widziało w życiu wielu hodowców pszczół. Staliśmy zadziwieni przy tym łąnie kwitnącej gryki, zroszonej poranną rosą, bez żadnych kapeluszy, w środku tej żywej pierzyny. Żadna pszczoła nas nie użądliła.

⁹ Wandzin – wieś w powiecie lubelskim, w gminie Bychawa.

żadnymi preparatami. Niekoszona trwa na tym piachu z czasem tworzyła próchnicę, po każdej zimie. Na działce było trochę krzewów porzeczek i agrestu, grzęda na warzywa. Stał tam drewniany niewielki domek letniskowy z werandą, który służył po przewiezieniu i ustawieniu uli między tymi drzewkami jako pawilon pszczelarski, w którym zgromadziliśmy sprzęt pszczelarski. Jedynym problemem był żywopłot z ałyczy, ręcznie przycinany, bo nie było wtedy odpowiedniego mechanicznego sprzętu. Działka została sprzedana w 1995 roku, gdy pół roku wcześniej spalono nam w Wigilię Bożego Narodzenia 1994 roku pawilon pszczelarski. Pasiekę ok. 36 rodzin podarowałem chłopcu z biednej rodziny. Pojechałem do dyrektora Państwowego Technikum Pszczelarskiego w Pszczelej Woli, aby wybrał jakiegoś ucznia z biednej rodziny – i wybrał. Był to najlepszy uczeń z 2,5 tysiąca młodzieży. Rodzice chłopca wywieźli pszczoły na Pomorze. Uczeń z wielką pasją do nauki zdał na studia i ukończył Uniwersytet Przyrodniczy.

Rodzice

Cofamy się do pierwszych lat siedemdziesiątych, rodzice osiągnęli już 80 lat, mimo że mnie dzieliło prawie 50 lat różnicy, ta różnica nie była dla mnie w jakiś sposób odczuwalna. Rodzice byli pogodni, spełnieni, wokół dzieci, które o nich dbały. Mama Antonina mając 80 lat, z szalem na plecach, grała ze mną w remi-brydża, we dwójkę w „sztapie” rodzinnym na Rurach. Tak było nazywane po wojnie miejsce domu rodzinnego przy ulicy Rury Jezuickie 6, później Nadbystrzycka. Henryka przypomina, że nie wzięła leków na serce, mama ze swoistym humorem mówi: „moje dziecko, jak ja bym wzięła te wszystkie leki, co mi przypisali lekarze to bym dawno nie żyła”. Mama nasza zmarła w domu 14 lutego 1974 roku. Poszliśmy na drugi dzień po pogrzebie odwiedzić grób w nekropoli przy ulicy Lipowej w Lublinie. Wokół śnieg, ale dzień był ciepły. Na kwiaty kalii leżące na Jej grobie przyleciały pszczoły. Był to jakiś symbol życia dla nas, abysmy dalej trwali w przestrzeni i rozrastali się w gałęziach drzewa rodzinnego następnych pokoleń.

Ojciec dwa miesiące po Wielkanocy skończył w 1974 roku pracę jako organista w kościele w Niemcach. Pracował tam 10 lat, do 83 roku swojego życia. To był ostatni – 57 rok pracy na stanowisku organisty w Lublinie i w parafiach diecezji lubelskiej. Ojciec zmarł w Lublinie dwa lata później, 17 lutego 1976 roku, w wieku 85 lat. Ceremonia pogrzebowa odbyła się

w zabytkowym 500-letnim kościele pobernardyńskim pw. Nawrócenia św. Pawła. Z udziałem wielu organistów z diecezji, rodziny i znajomych. Pamiętamy *Ave Maria* Gounoda śpiewane operowym głosem przez organistę z Nałęczowa w czasie ceremonii.

Sukcesy Jurka

Pierwsze lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku to duże sukcesy naukowe Jurka: habilitacja w 1971 roku z badań nad polską sztuką nowożytną i jej związkami ze sztuką włoską. Efektem było wydanie dwa lata później tej pracy w formie książki pt. *Sebastiano Serlio a sztuka polska. O roli włoskich traktatów architektonicznych w dobie nowożytnej*, jako wydawnictwo Instytutu Sztuki PAN, Warszawa 1973. Książkę zadedykował naszej najstarszej siostrze Heni, trzecią i ostatnią jaką kiedykolwiek zadedykował to w 1980 roku siostrze Kazi (Anna Kazimiera) *W kręgu kultury dworu Jana Zamoyskiego*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1980. Pierwsza dedykacja była wcześniejsza – dla rodziców – to praca doktorska z 1968 roku pt. *Kolegiata w Zamościu*.

W latach 1955-1978 Jurek pracował w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego, wówczas miał duży dorobek naukowy liczący 180 prac naukowych, ale nie należał do jedynie słusznej partii, więc uczelnia nie miała dla niego etatu.

W latach 1980-1997 zatrudniony był w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie. Pierwsze półroczne stypendium naukowe Jurka do Italii (50 lat temu) było tak znikome, że pół rodziny składało się dla niego na bilet kolejowy. Gdy już tam dojechał pojawiło się dwóch smutnych panów w kapeluszach, ciemnych okularach i długich płaszczach, jakie wtedy się nosiło, chodzili za Jurkiem jak cień, z tym że jeden miał ciemny płaszcz, drugi jasny, Jurek nic sobie z tego nie robił, siedział na stopniu jakiejś budowli i rysował. Takie były czasy. Kiedyś Jurek uzyskał list polecający od znanego profesora, aby mógł wyrobić dokument podobny do paszportu ze zdjęciem do Biblioteki Watykańskiej. Po powrocie opowiadał jakie to wrażenie dla historyka sztuki dotykać i oglądać kopie traktatów Witruwiusza¹⁰. Spotykał także włoskie traktaty architektoniczne, które znajdo-

10 Kopie dzieł Witruwiusza zachowały się dzięki ogromnemu zainteresowaniu architektów i humanistów w dobie renesansu. Jego dzieła wzbogacano o ilustracje i komentarze. Marcus Vitruvius Pollio był rzymskim architektem żyjącym w I w. p.n.e.

wały się w polskich rezydencjach w XVI wieku, które jakimś trafem znalazły się Watykanie. Późniejsze wyjazdy Jurka do Italii z okazji różnych konferencji naukowych i badań to przyjaźnie, które trwały wiele lat, jak z muzykologiem prof. Gastonem Bellottim, jurorem Konkursu Chopinowskiego, autorem trzytomowego dzieła o Chopinie. Przyjmował Jurka zawsze w gościnę w swojej XVI-wiecznej rezydencji.

Gdy rodziców zabrakło skończył się jakiś etap spotkań rodzinnych w bardzo licznym gronie. Wszyscy zaczęli budować swoje odgałęzienia drzewa rodzinnego. Pozostał sentyment rodzeństwa do ciepła rodzinnego miejsca – domu „na Rurach” gdzie mieszkali rodzice, a później mieszkały nadal najstarsze siostry: Henryka i Kachunia (Anna Kazimiera).

Bolszewizm

Lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku przyniosły nieco zmian. Można było kupić w banku 150 dolarów i pojechać na wycieczkę zobaczyć świat za żelazną kurtyną. Tutaj cały czas było siermiężnie, rodzina moja powiększyła się, przybyły dzieci, swoich dziadków już nie znały, Kasia (1977) i Konrad (1979).

W 1980 roku rozpocząłem pracę zgodnie ze specjalizacją ze studiów w Kombinacie Ogrodniczym „Leonów” pod Lublinem, zrzeszającym gospodarstwa sadownicze ówczesnego województwa lubelskiego. Zajmowałem się nadzorowaniem istniejących pasiek i organizowaniem nowych. Pszczoły miały zwiększać wydajność owoców w sadach, aby dorodne owoce w bibułkach eksportować do Braci Słowian. Na granicy wszystkie i tak były przyjmowane jako ostatni sort.

Z tym okresem bolszewizmu w PRL-u to cały czas była dziwna sprawa. Jak wspominał ks. prof. Józef Tischner, gdy do niego przyjechał gość zza granicy i prosił, aby pokazać mu na ulicy komunistę, to nie potrafił. Realne życie tak wyglądało: I sekretarz KW PZPR w Lublinie towarzysz Kozdra przyjeżdżał z kolegą czarną Wołgą do proboszcza Jędruszaka w Niemcach na brydża. Ale pewnego dnia proboszcz polecił ojcu jako organiście spisać akt chrztu dziecka, które proboszcz przed chwilą ochrzcił. To był wnuk I sekretarza PZPR. Tak wyglądał w praktyce komunizm.

W lipcu 1980 roku około 150 zakładów na terenie Lubelszczyzny zaczęło strajkować, o wiele wcześniej niż na Pomorzu czy Śląsku. Była atmosfera napięcia społecznego, puste półki w sklepach, wyczuwało się

nadejście jakiegoś kataklizmu. W Zakładach Mięsnych w Lublinie robotnicy przyspawali do szyn koła wagonów z szynką „Ham”, którą kazali im zapakować dla Braci Słowian w metalowe beczki po smole.

Nastał czas grozy, postanowiłem co kilka dni pisać dziennik wydarzeń.

Dziennik z lat osiemdziesiątych XX wieku

18.07.1980 – W Leonowie rozpoczął się strajk pracowników szklarni. Ogólne napięcie. Ludzie wykupują ostatnią żywność ze sklepów. Dzisiaj rano strajkuje miejska komunikacja. Załatwiłem w Urzędzie Wojewódzkim przydział cukru na zimowe dokarmianie pszczół dla pasiek Kombi-natu. Z Lublina do Leonowa przyjechałem pekaesem. Koledzy całą noc w pracy dyżurowali. Obawiamy się prowokacji. Ja chyba będę dzisiaj w nocy dyżurował. Nie wiem kiedy wrócę do domu. Szklarni pilnuje w sumie 16 osób w godz. 15-18, 21-24, 3-6 rano. Chodzimy po dwóch. Mamy swój rejon od strony północnej. Najgorzej zimno było rano.

Dziennik pisany nerwowo, dopisywane krótkie zdania, aby coś nie umknęło.

19.07.1980 – Apel I sekretarza PZPR do mieszkańców miasta Lublina o zaniechanie strajku, ale w terenie trzeba było normalnie pracować, pojechałem do Gospodarstwa Ogrodniczego w Łęcznej, tam dyrektor zgodnie z poleceniem partii założył niewielką pasiekę 10 rodzin pszczelich. Pawilon pszczelarski był w ustawionym barakowozie przy sadzie.

Dyrektor poprosił mnie do swojego biura i mówi do mnie: „Proszę pana, po cholere mi było stawiać te dziesięć rodzin. Gdy zaczynają kwitnąć sady prywatni pszczelarze obstawiają dookoła cały teren sadu, kilkadziesiąt hektarów swoimi ulami. Jest ich kilkaset, pszczoły i tak zapyłają. Gałęzie się wyłamują od ciężaru owoców. Nie chciałem protestować, bo za miesiąc idę na emeryturę, wiem, że pan jest młody i ambitny, gdzieś na górze planują, a moi ludzie pół zimy porządkują wyłamany sad”.

Nacjonalizacja i centralne planowanie ze stolicy nijak miało się do warunków dobrego gospodarowania w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

2.09.1980 – Na Majdanku odbył się pogrzeb Nikodema-Wacława Wierchowskiego (1919-1980), naszego brata przyrodniego, ps. z AK Ramzes,

i mojego ojca chrzestnego, dostał raka płuc, nie doczekał wolnej Polski, o którą walczył.

3.09.1980 – Skończyły się strajki na Wybrzeżu, zaczęły na Śląsku.

27.10.1980 – Wczoraj na Rurach odbyła się uroczystość rodzinna. Jurek oficjalnie wręczał Kazi zadedykowaną książkę pt. *W kręgu kultury dworu Jana Zamoyskiego*. Książkę od Jurka – autora otrzymały dzieci: Kasia i Konrad Kowalczykowie, Andrzej Kowalczyk z Kasią, Joasia Szuran z d. Kowalczyk i Józek Szuran, Witek i Kasia Wendrowscy oraz Ania i Wiktor Kowalczykowie.

10.11.1980 – Od tygodnia zima, wiatr, mróz, wiele płodów zostało w ziemi. W sklepach skąpe podstawowe artykuły spożywcze. Racjonowanie ziemniaków. Cukier dalej na kartki – 2 kg na osobę na miesiąc. Cebuli, oleju, smalcu, nie mówiąc o wędlinie, brak. Trudności z proszkami do prania, mydłem, szamponem do włosów. Wędlin nie je się tygodniami. Wczoraj nadeszła fala mrozów, minus 14 stopni Celsjusza. Nastroje niepewności politycznej i przed głodem.

Spółdzielnia Pszczelarska i własna działalność

W 1982 roku Okręgowa Spółdzielnia Pszczelarska w Lublinie przy ul. Diamentowej 23 ogłosiła anons o chęci zatrudnienia na kierownika działu pszczelarskiego kogoś z wyższym specjalistycznym wykształceniem. Zgłosiłem się i wkrótce zostałem zatrudniony, z zakresem koordynacji spraw produkcji pszczelarskiej na terenie 14 województw północno-wschodnich w Polsce.

Działalność polegała na tym, aby z podległymi inspektorami spowodować zakupienie do standaryzacji jak największej ilości miodu. Rozdzielniki centralne preferowały zaopatrzenie po stanie wojennym głodującego Śląska i górników. Tam były wysyłane do hurtowni olbrzymie transporty miodu na paletach.

Druga strona działalności to kontakty z największymi producentami i pomoc dla nich w uzyskaniu dobrego materiału genetycznego do hodowli – matek pszczelich, z jednoczesnym zagwarantowaniem odbioru miodu przez Spółdzielnię. Tam mogłem zaproponować i zrealizować pomysł ogólnopolskiego konkursu nowego sprzętu pszczelarskiego oraz

rozpoczęcie edycji dostępnych w odbiorze popularnych broszur o hodowli pszczół, pisanych przez pracowników naukowych różnych uczelni, wydawnictw finansowanych przez Spółdzielnię.

W nowej rzeczywistości przemian społeczno-ekonomicznych po 1989 roku zostałem zwolniony z pracy w ramach redukcji etatów w 1994 roku.

Ostatnie 5 lat pracy w nowej rzeczywistości społeczno-ekonomicznej to transformacja przeniesienia własności państwowej na własność prywatnej spółki udziałowców i nowe zasady finansowania. Spółdzielnia jako zakład do standaryzacji miodu i produkcji miodów pitnych na bazie miodu pobudowana była dawniej w większości ze składek pszczelarzy.

W 1982 roku przyjmował mnie do pracy prezes, starszy pan, który objął stanowisko z nominacji partyjnej, prawdopodobnie miał ukończoną szkołę podstawową. Zastępcami w takich firmach byli przeważnie ambitni chłopcy ze Związku Młodzieży Socjalistycznej, którzy rozlepiali wcześniej gazetki partyjne. Prezes miał na biurku gruby zeszyt i długopis, którym wszystko sobie notował, miał tak zwany popularnie „chłopski rozum”. Nie podejmował decyzji pochopnie.

Do mnie mówił na „ty”, raz w przypływie szczerości roztoczył przede mną swoją wizję filozofii życia „wiesz z ludźmi, to jak ze szczurami w worku, trzeba mocno worek potrząsnąć, to same się wygryzą”, ale trzeba też ludzi posłuchać, czasem i oni mają rację.

To było wtedy, gdy na pierwszy ogień trzeba było w 1990 roku ograniczyć po raz pierwszy liczbę pracowników w firmie. Mówił do mnie: „od jutra zajmował się będziesz dodatkowo sprawami handlu, wychodź z krótkich spodenek, mam mieć magazyny puste, palet miodu pod sufit, wysyłaj ich na Śląsk, produkcja stanie”.

Samo życie: przy braku ludzi trzeba było wykonywać różne rzeczy na bieżąco. aby firma działała. Nasz kierowca rozbił kolejny samochód służbowy prezesa. Wzywa mnie, pytam nieśmiało czy go zwolni. Pomyślałem, jeszcze tego brakowało, abym woził prezesa. Słuchaj, on ma czworo dzieci i chorą żonę, jak ja mam go zwolnić, w łeb sobie strzeli chłopak z rozpaczy. Mówi: „weźmiesz drugi służbowy samochód, zawieziesz księgową jutro o 4 rano do Zamościa, bo jedzie stamtąd na wycieczkę zagraniczną, a jak wrócisz, to przywieź jej ze sklepu meblowego nowe biurko, bo jej się rozlatuje”. W okresie PRL łatwo było każdemu rządzić firmą, jak kredyt w banku był na 3%.

Nagle transformacja ustrojowa, kredyt w banku 25%, firmy padały, ludzie zostawali bez pracy. Sytuację gospodarczą pogorszył chaos

znikania na rynku hurtowni. Zaopatrzeniowiec jechał na drugi koniec Polski kupić żeliwny ruszt do kotłowni, dostawał samochód, broń gazową, kasetkę przytwierdzoną śrubami do samochodu, chował do niej plik pieniędzy na zakupy. Nie funkcjonowały żadne przelewy, każdy żądał „żywych” pieniędzy. Tak było w każdej firmie.

Życie i ekonomia nie znoszą pustki, po kilku latach, na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zaczęły pojawiać się hurtownie jako ogniwa pośrednie między fabrykami a sprzedażą detaliczną. W fabrykach także zwalniano ludzi, magazyny wypełnione były pod sufit, pracowników wysyłano na długie urlopy bezpłatne. Przez wiele lat każdy pracował dla firmy, dla szefa firmy, który dostawał medale. W 1994 roku, po 12 latach, zostałem zwolniony z pracy. Był to jednak szok jak znaleźć się w nowej rzeczywistości. Miesiąc wcześniej spalono nam pawilon pszczelarski na działce w Mętowie pod Lublinem, w głowie wizja drugiego dna.

Mój przyjaciel, pszczelarz, wtedy powiedział mi: „stary, masz garaż, zakładaj hurtownię, przecież zajmowałeś się handlem”. Jak? Bez pieniędzy, a poza tym co ja mam sprzedawać? „Bierz się w garść, sprzedawaj działkę, zorientuj się w pustych sklepach w mieście, co potrzebują i przywoź im z łódzkich fabryk”. On już tam jeździł. Tak zaczęła się działalność gospodarcza w garażu, potem już na parterze rodzinnego domu. Zmieniłem pracę, środowisko, po spaleniu pawilonu pszczelarskiego na działce pasiekę podarowałem chłopcu z biednej rodziny. Przy pomocy pożyczek od rodziny kupiłem pierwsze towary do hurtowni. Powoli zacząłem odbijać się od drugiego dna. Działalność gospodarczą prowadziłem 20 lat, do 2015 roku, gdy miałem 73 lata.

Od 2012 roku na emeryturze zwiedziliśmy z żoną Marią 170 miejscowości w Polsce, na moim blogu lu-mix.flog.pl znajduje się ponad 2300 fotorelacji przekazanych jako dar dla innych, to co może być najpiękniejsze. Fotografia oprócz pszczół, to kolejna z wielu pasji mojego życia od 1957 roku, czyli 65 lat.

Epilog – Jurek

Brat Jerzy-Antoni, w rodzinie Jurek, tytan pracy, który żył w cieniu sławy, a którego pasją życia była sztuka – dzieła tworzone przez człowieka na przestrzeni wieków, jak mawiał podczas długich wieczorów w rodzinnym domu „na Rurach” w Lublinie: „kultura przenosi nas w następne wieki, wieki pamiętają o dziełach kultury”.

Niektórzy koledzy brata – historycy sztuki nie byli zazdrośni o Jego wielki dorobek naukowy, jeden z nich mówił mu: „Twoje badania źródłowe i to, co piszesz będą aktualne i za 150 lat, zapracowałeś, aby być w Encyklopedii Uczonych Polskich”.

Związany śladami rodzinnymi z Zamościem i z Zamojszczyzną Jurek poświęcił bardzo wiele badań naukowych mecenatowi rodu Zamoyskich, kulturze i architekturze Zamościa, oprócz głównego nurtu badań nad sztuką nowożytną i związkami polsko-włoskimi w sztuce.

Zaangażował się w przygotowanie materiałów naukowych dotyczących historii i architektury Zamościa do wniosku o wpisanie Starego Miasta w Zamościu na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO w 1992 roku.

Jaki był Jurek na co dzień? Lubił wokół ludzi interesujących, z jakąś pasją. Był w Lublinie, rok 2010, jesień, 1 października, Jurek mówi „słuchaj jest słoneczny dzień, chciałbym abyśmy pojechali do Zamościa w moją, być może ostatnią, sentymentalną podróż”. Ja robiłem jak zwykle zdjęcia. Jurek powoli spacerował z laseczką, miał wtedy 80 lat, zamysłony patrzył, co raz przysiadł na ławeczce, patrzył na wszystko, co znał od dziesięcioleci i z archiwalnych kart, jak to idealne miasto powstawało niemal z dnia na dzień, jak hetman przysyłał kartki z pola bitwy, co i jak należy dalej budować, jak hetman martwił się czy te ponumerowane ciosy na budowę kolegiaty (dziś katedry) przyplływają barkami z kamieniołomów pod Lwowem ... na Rynku Głównym – „popatrz jak pięknie poukładali te kostki”, za chwilę podeszła jedna z pań przewodniczek z uśmiechem powitała brata, porozmawiali chwilę, potem spotkaliśmy ks. Jana Dobosza przy rewitalizowanej katedrze.

Nie była to ostatnia wizyta Jurka w Zamościu. Przez władze miasta Zamościa został uhonorowany tablicą w Alei Sław. Jest to ewenement w skali kraju, aby naukowiec został w taki sposób wyróżniony. Uroczystość odbyła się 17 maja 2013 roku. Z tej okazji odbył się w Zamościu także zjazd naszej rodziny rozproszonej po Europie.

Emerytura Jurka to nie odpoczynek, ale cały czas wyteżona praca, mówił do mnie wtedy w 2010 roku jak spacerowaliśmy w Zamościu, że tyle nagromadził materiałów źródłowych, że zabrakłoby drugiego życia, aby napisać następne 400 prac naukowych. Jurek dalej ... „spisałem testamenty co i gdzie przekazać z mojego dużego księgozbioru w domu w Warszawie, a książki, które całe życie przekazuję do domu na Rurach w Lublinie, przekażesz do Zamościa do Muzeum Zamojskiego i Archi-

wum Państwowego w Zamościu, listy rodzinne z kilkudziesięciu lat też do Archiwum Państwowego w Zamościu”. Testament został wykonany.

Podczas tego przyjazdu do Lublina Jurek przekazał projekt rodzinnej płyty nagrobnej w nekropolii przy ulicy Lipowej w Lublinie. Jest ona w kształcie płaskiej płyty jak książka z zaokrąglonymi bokami i literami w kształcie czcionki antycznej, powiedział: „ta płyta to jest symbol naszej rodziny; praca, nauka, uczciwość”. Tu została złożona jedna z dwóch urn z prochami naszego brata.

Jurek zawsze mi mówił: „jak spotykasz człowieka i on wymachuje rękami i krzyczy, to on nie ma nic do powiedzenia”. Miał szacunek do wszystkich ludzi, którzy coś robią, mają wiedzę, do tych co układają kostki brukowe we wzory, do dozorczy Jana Krupy w naszej kamienicy w Lublinie z fenomenalną pamięcią, który znał doskonale historię starożytniej Grecji i Rzymu, a na co dzień sprzątał ulicę. Z sąsiadem woził piach na lubelskie budowy. Nie miał on finansowych możliwości przed wojną, aby się uczyć. Po pracy siadał na podwórku na krzeselku i ciągle czytał.

O innych pracujących na uczelni, którzy nie wykazywali się wielkimi osiągnięciami naukowymi, a jedynie historią danej nauki, mówił, że tacy też są potrzebni, bo opowiadają w telewizji o sztuce i coraz więcej ludzi interesuje się kulturą.

Na wiosnę 19 kwietnia 2016 roku odwiedziłem Jurka w Warszawie, nie wiedziałem, że to będzie ostatnie nasze spotkanie 2 lata przed Jego śmiercią. Podczas tego spotkania pokazał mi V tom wielkiotomowego cyklu wydawniczego „Sztuka polska” poświęcony dziejom architektury, rzeźby rzemiosła artystycznego i innych dziedzin specjalności artystycznej, Jurek był reaktorem naukowym tej unikatowej serii. Powiedział mi: „sztuka wieku XIX i lat 1900-2015, dwa ostatnie tomy serii będą już nie pod moją opieką naukową”. W tym V tomie autorem dużego działu *Architektura* jest Jurek, z opisami dość dużego obszaru architektury na terenie dawnej Rzeczypospolitej: Po Wprowadzeniu działu Fundatorzy i architekci, Formy stylowe, Pałace i ogrody, Architektura sakralna, Drewno w architekturze, opisy zabytków, Warszawa i Mazowsze w czasach saskich, Warszawa i Mazowsze w czasach Stanisława Augusta, Podlasie, Kraków i Małopolska, Ziemia Przemyska, Lwów i Ruś Koronna, Lubelszczyzna, Wielkopolska, Kujawy i Pomorze, Warmia.

Jurek mało uprawiał sportów. Był niezwykle aktywny społecznie. W latach 1988-1996 był redaktorem naczelnym „Biuletynu Historii Sztuki”. Od 1995 roku był członkiem korespondentem, od 2012 członkiem

zwyczajnym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wydziału II Nauk Historycznych, Społecznych i Filozoficznych. W latach 1981-2012 był recenzentem 11 prac doktorskich i habilitacyjnych oraz promotorem 11 prac doktorskich.

Jurek był członkiem honorowym koła Przewodników PTTK w Zamościu oraz członkiem Rady Programowej Muzeum Zamojskiego, z którym współpracował ponad 50 lat.

W 1985 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim, a w 1999 Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi dla kultury narodowej.

Zmarł 4 października 2018 roku w Warszawie, w wieku 88 lat.



Fot. Zenon-Jan Kowalczyk (1919 – 1939) podchorąży Wojska Polskiego z 9 PPL w Zamościu, zginął w walkach frontowych pod Lubomlem z rąk niemieckich najeźdźców.



Fot. Rodzinne w Foto-Paliński w Lublinie przy ulicy Peowiaków z dnia 25 lipca 1970 roku; od lewej siedzą; Nikodem-Wacław Wierzchowski (1919 – 1980), Antonina Kowalczyk zd. Olszak I voto Wierzchowska (1892 – 1974), Józef Kowalczyk (1891 – 1976), Alina Wendrowska zd. Kowalczyk (ur.1931), od lewej stoją; Stanisław Kowalczyk (1929 – 2004), Jan-Zenon Kowalczyk (ur.1942), Henryka Kowalczyk (1923 – 2009), Eugeniusz Kowalczyk (1925 – 2008), Anna-Kazimiera Kowalczyk (1926 – 2021), Antoni-Jerzy Kowalczyk (1930 – 2018) fotografie wykonał Jan-Zenon Kowalczyk.



Fot. Stanisław Kowalczyk (1929 – 2004) w mieszkaniu rodzinnym na Nadbystrzyckiej 6 w Lublinie, fot. Jan-Zenon Kowalczyk 4 marca 2003 roku.



Fot. Jerzy z bratem Janem-Zenonem Kowalczykiem (foto ze statywu), Zamość.